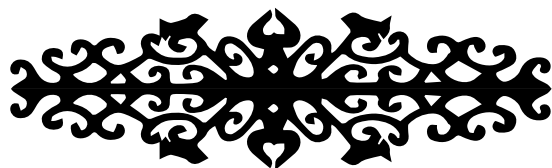
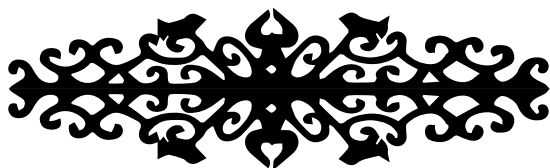


ALDONA *z Podlasia*



ALDONA ANNA SKIRGIEŁŁO

ALDONA *z Podlasia*



[Kup książkę](#)

Copyright © 2024 by Aldona Anna Skirgiełło
Copyright for this edition © 2024 by Axis Mundi

REDAKCJA: Ewa Hoffmann-Skibińska
KOREKTA: Dominika Kamyszek
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

Publikacja została przygotowana z zachowaniem oryginalnej pisowni i stylu Autorki.

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski
ZDJĘCIE NA OKŁADCE: Wojciech Ciszewicz
POZOSTAŁE ZDJĘCIA: archiwum prywatne Autorki
PODLASKIE ELEMENTY GRAFICZNE: <https://www.facebook.com/ozdobnikpodlaski/>
SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8394-000-7

EAN: 9788383940007

ISBN E-BOOK: 978-83-8394-001-4

Wszelkie prawa zastrzeżone.

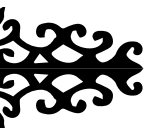
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Wszystkie poglądy, opinie i tezy wyrażone w tej książce są wyłącznie poglądami Autorki i nie odzwierciedlają stanowiska wydawnictwa.



Kup książkę

*Kobietom,
by obudziły
swoją uśpioną Moc.*



PROLOG

Rumaków w podwarszawskiej stajni było kilkanaście, każdy inny i każdy wspaniały. Był kasztan Licznik z dwoma kropkami na czole, Bart – jego ciemniejsza wersja; Diogenes, który wyrzucał język z pyska z jednej strony; Sasanka – klacz pełnej krwi, zdyskwalifikowana z toru wyścigowego; Wampir – kary małopolski ogier. Jednakże najcudowniejszy był Apacz – gniadosrokaty wałach kupiony w cyrku. Apacz miał szyję brązową i takąż tylną prawą nogę. Na głowie – szeroką, białą łysinę. Mówiło się: „Apacz, poproś” i Apacz skłaniał swoją piękną głowę ku ziemi, zginając szlachetną pęcinę i grzebiąc białym kopytem w piasku.

Kasztan Licznik rozchorował się któregoś dnia – dostał kolki. Nie chciał jeść specjalnie przygotowanych dla niego zmoczonych otrębów. Dziewczynka głaskała go po pysku, prosząc: „Jedz, Licznik, jedz. To dla ciebie dobre. Musisz wyzdrowieć”. Koń wsadził pysk do wiadra i zaczął jeść.



Stajnia została zlikwidowana. Konie zniknęły. Właścicielka poinformowała, że zostały sprzedane do Włoch. Do Włoch... to podróż w jedną stronę, z której żaden koń nie wychodzi żywy... Był luty 1987 roku. Dziewczynka płakała rzewnymi łzami w trolejbusie

linii 51 zmierzającym z podwarszawskich Pyr na Dworzec Południowy przy Wilanowskiej. Płakała, wiedząc, że nigdy już nie zobaczy żadnego z tych koni. Płakała, wiedząc, że jej ukochany Apacz odszedł na zawsze.

Apacz odszedł na zawsze, lecz na zawsze też pozostał w pamięci dziewczynki. Ukochała sobie srokate konie i stwierdziła, że ma wielkie marzenie – mieć stadninę koni, koniecznie srokatych. Prawdziwą stadninę, gdzie jest ogier, są klacze, a co roku na świat przychodzą źrebaczki.

Po jakimś czasie dziewczynka zapomniała o swoim marzeniu. Jeździła do innej stajni, gdzie były inne konie – sympatyczna kasztanka Antaba, dziarski staruszek Krater, dawny sportowiec Lakmus, złośliwa siwa Elegia, a ulubieńcem dziewczynki stała się ciemnogniada Łassuda. Srokacza nie było ani jednego. Jazdy odbywały się pod czujnym okiem i wymagającą ręką dawnego ułana, Pana Majora, który był wspaniałym nauczycielem zarówno konnej jazdy, jak i dyscypliny stajennej. I życiowej.

Dziewczynka może i zapomniała o swoim marzeniu – utkwilo gdzieś w podświadomości – lecz marzenie nie zapomniało o dziewczynce... i przypomniało o sobie wiele, wiele lat później.



Słońce, nieśmiało wychylając się zza linii blokowiska wielkiego miasta, dotykało promieniami budynków stajennych, rozlewało się na drzewa i piaszczyste kółka treningowe, gdzie pierwsze tego dnia konie już klusowały pod jeźdźcami, rozgrzewając mięśnie przed porannymi galopami na torze treningowym.

Tu był inny świat. Za służewieckim murem życie toczyło się w innym rytmie niż na zewnątrz. Czas wyznaczały treningi koni, wieczorne obrządki w stajniach i gonitwy. Oprócz koni za murem

mieszkały kozy, świnie, kury, a nawet – w pewnym momencie – jeden baran. Tutaj nie docierał szum wielkiego miasta – mur za-trzymywał go na zewnątrz; na zewnątrz, czyli tam, gdzie jeździł trolejbus linii 51, ten sam, którym kiedyś mała dziewczynka do-jeżdżała do podwarszawskiej stajni.

Podwarszawskiej stajni już nie było. Drugiej stajni, tej Pana Majora, też już nie było – odszedł, dożywszy niemal setki, i wów-czas ludzie zarządzający stajnią zrobili to, na co Pan Major za-życia nie pozwalał. Sprzedali do Włoch większość koni, w tym ulu-bionego wierzchowca Pana Majora, gniadego wałacha Sandersa. Pojechał i Lakmus, i Krater, i inne... Przecież należało wymienić konie na młodsze... Na co komu niemal trzydziestoletni dziadek Krater, co prawda zadbany i pełen werwy... Na co komu profesor Lakmus, na którym dziewczynka ćwiczyła chody ujeżdżeniowe... albo fantastycznie skacząca Elegia, też już nie pierwszej młodości...



ROZDZIAŁ 1.1

RÓD

*Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
«Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty, i miecze.*

*Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.
Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć krajowi,*

*Niech litewskie prowadzą was bogi!
Tęgo roku nie jadę, lecz jadącym dam radę,
Trzej jesteście i macie trzy drogi.
Jeden z waszych biec musi za Olgierdem ku Rusi,
Ponad Ilmen, pod mur Nowogrodu;*

*Tam sobole ogony i srebrzyste zastłony,
I u kupców tam dziengi jak lodu.
Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi Krzyżaki psułaty;
Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku*

*I kapłańskie w brylantach ornaty.
Za Skirgiełłem niech trzeci poza Niemen przeleci
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe;
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze
I mnie stamtąd przywiezie synowę.*

*Bo nad wszystkich ziem branki milsze Laszki kochanki,
Wesolutkie jak młode koteczki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.
Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym człowiekiem,*

*Laszkę sobie przywiozłem za żonę;
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę».
Taką dawszy przestrożę, błogosławił na drogę;
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.*

*Idzie jesień i zima, synów nie ma i nie ma,
Budrys myślał, że w boju polegli.
Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
«Ej to kubeł, w tym kubie nowogrodzkie są ruble?»*

– «Nie, mój ojcie, to Laszka synowa!»
*Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
«Pewnie z Niemiec, mój synu, wiesz kubeł bursztynu?»*
– «Nie, mój ojcie, to Laszka synowa!»

*Po śnieżystej zamieci, do wsi jedzie mąż trzeci;
Burka pełna, zdobyczy tam wiele;
Lecz nim zdobyć pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele¹.*

Skirgiełłowie wywodzą się ze starego litewskiego rodu kniazia Giedymina poprzez jego syna Algirdasa (Olgierda) i wnuka Skirgiełłę (Skirgajłę), który na chrzcie otrzymał imię Iwan (w scs² *Joann* – Jan).

Genealogię rodziny udało się ustalić wstecz aż do XII–XIV wieku; unia polsko-litewska połączyła oba narody dzięki porozumieniu zawartemu w Krewie za sprawą ślubu brata mego przodka. Przodek bratem był najbardziej zaufanym spośród rzeszy rodzeństwa i otrzymał posłannictwo: miał przybyć na Wawel i w imieniu Jagiełły prosić o rękę polskiej księżniczki.

Litwini przyjmowali drugi chrzest w Kościele katolickim i jedynie ów przodek mój stanął okoniem i pozostał przy prawosławiu. Później zresztą zakończył żywot, będąc otrutym przez prawosławnych biskupów...

W tak zwanym międzyczasie staliśmy się Polakami.

Ostatnim dużym właścicielem ziemskim był Kacper Skirgiełło, którego majątek został zarekwirowany za udział w powstaniu listopadowym, czyli wojnie polsko-rosyjskiej.

Jeszcze dziadkowie pradziadka brali ślub w Mariampolu na Litwie. Ich syn Stanisław urodził się już bardziej na południu, a później za żonę wziął pannę z innego nobilitowanego, starego litewskiego rodu – Katarzynę z Montwiłłów. Mieli oni pięcioro

1 A. Mickiewicz, *Trzech Budrysów. Ballada litewska*, w: *Ballady i romanse*, <https://wolnelektury.pl>, 24.09.2024.

2 scs – język staro-cerkiewno-słowiański (słowiański, starosłowiański) wprowadzony przez Cyryla i Metodego, nadal w użyciu jako język liturgiczny Cerkwi prawosławnej.

dzieci: Jadwigę, Halinę, Bolesława, Zygmunta i Mieczysława, w przyszłości ojca mej babci.

Całkowicie polska historia rodziny zaczyna się właściwie dopiero przed II wojną światową, bo chociaż pradziadek Mieczysław urodził się w Augustowie, a prababcia Jadwiga w Homieli, to poznali się w Sankt Petersburgu, wedle dokumentów byli Polakami, ale żyli daleko po wschodniej stronie Bugu.

Prababcia Jadwiga, z domu Aleksandrowicz, ze spolszczonej rosyjskiej arystokracji, uczyła się w Instytucie Smolny dla Wysocko Urodzonych Panien w Sankt Petersburgu³, w 1904 roku zdała maturę i dostała się na studia medyczne. Rozpoczęcia roku akademickiego nie doczekała – kiedyś, nie wiem, w jakich okolicznościach, zauważyła na drzwiach tabliczkę z nazwiskiem pradziadka. I pomimo iż nie znała go zupełnie, nawet nie wiedziała, jak ten wygląda, ogarnęło ją niezwykle silne przeczucie, iż zostanie on jej mężem. Pradziadek Mieczysław był młodym prawnikiem, absolwentem uniwersytetu w Kijowie.

Rodzina przemieszczała się nader często, co można wywnioskować choćby z miejsc urodzenia dzieci: Alina Urszula w 1911 roku w Kursku (mimo że jej oficjalna biografia podaje Klińce w obwodzie brzeskim), babcia Aldona Zuzanna w 1915 w Nowozybkowie (Новозыбков), a ich brat Olgierd Henryk – w 1921 w osadzie Bor (Bop) koło Niżnego Nowogrodu.

W 1922 roku przybyli do Polski jako repatrianci. Zatrzymali się w Poznaniu, gdzie mieszkały dwie siostry prababci Jadwigi.

W późniejszych latach Mieczysław Skirgiełło piastował pozycję naczelnika sądu w Grodnie – do czasu nadejścia bolszewików, kiedy to został zmuszony, by opuścić stanowisko, rozpocząć pracę w Lasach Białowieskich (późniejsza Puszcza Białowieska)

3 Instytut Smolny – siedziba Instytutu Szlachetnie Urodzonych Panien, znajdująca się w Sankt Petersburgu, przy Smolnym Nabrzeżu Newy. Istniał w latach 1764-1917.

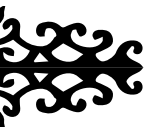
i osiąść wraz z rodziną w leśniczówce. Dzieci uczęszczały do szkoły w Białowieży.

Pamiętam babcine opowiadania o wilkach podchodzących pod dom i o psie pradziadka, wyżle noszącym imię – nomen omen – Banita.

Pradziadek Mieczysław zginął w 1935 roku w tragicznych okolicznościach: utonął w Niemnie podczas ratowania syna. Wiele lat wcześniej, widząc niemowlę, gadałka⁴ przepowiedziała: „Niech to dziecko wystrzega się wody”. Grób nie istnieje: został przez bolszewików, wraz z całym cmentarzem, zrównany z ziemią. Gdyby nie przedwczesna śmierć pradziadka, być może rodzina Skirgiełłów, podobnie jak wszystkie rodziny pracowników leśnych z okolic Hajnówki, została wywieziona na zsyłkę w głąb Rosji sowieckiej...

Podróż zakończyła się w Warszawie, gdzie rodzinę wkrótce zastała wojna. Alina wówczas studiowała biologię, Aldona – polonistykę, natomiast Olgierd przygotowywał się do zawodu lekarza.

4 *Gadałka* (ros.) – jasnowidząca, wróżka.



ROZDZIAŁ 1.2 DROGA DUSZY

Przychodzimy na świat, by nasza dusza mogła rozwijać się poprzez doświadczenia. Nasza dusza – czyli my sami, ponieważ ciało fizyczne jest tylko tymczasowym wehikułem, za którego pomocą się poruszamy. Można je porównać do ubrania: jedno zdejmujemy, inne zakładamy. Przed każdym wcieleniem wybieramy sobie konkretne doświadczenia potrzebne dla naszego rozwoju. Wybieramy rodziców i miejsce urodzenia, lecz przychodząc na świat, zapominamy o tych aspektach – czymże byłby egzamin, jeśli znalazłbyśmy wszystkie odpowiedzi?

Celem naszym jest, poprzez doświadczanie rozmaitych sytuacji, osiągnięcie coraz to wyższych częstotliwości. Częstotliwości, wibracji – jakkolwiek to nazwać – bo wszystko we wszechświecie ma określony rezonans, a naszym celem jest odrzucenie strachu, złości czy żalu na rzecz akceptacji, ochoty do działania i wreszcie bezwarunkowej miłości do innych istot. To niełatwe do zrozumienia dla wielu osób – w jaki sposób można kochać każdego, nawet osoby, które źle nam życzą?

Świat zewnętrzny jest dokładnym odwzorowaniem naszego wnętrza. W innych ludziach widzimy własne odbicie. Tak więc im wyższą częstotliwość posiada nasza dusza, tym bardziej zmienia się nasze otoczenie. Przestajemy spotykać osoby przebywające w niskich wibracjach tak szybko, jak szybko podnosimy własne.

Przebaczenie jest niezbędnym aspektem na tej drodze. Przebaczenie najpierw samemu sobie, albowiem większość z nas na ogół pielęgnuje żale związane z przeszłością. Pozostając w pokoju z własną istotą, będziemy zdolni do przebaczenia innym. To absolutnie niezbędna kolejność, ponieważ bez wybaczenia sobie nie ma możliwości, aby wybaczyć drugiej osobie.

Należy też zakorzenić się w chwili, w teraźniejszości, zamiast żyć przeszłością lub przyszłością. Jesteśmy tu i teraz: przeszłość odeszła, przyszłość dopiero nadejdzie. Rozpamiętywanie i wracanie do tego, co było, może spowodować tylko lęk, stres i uprzedzenia czy niepotrzebne zahamowania. To, co było, już minęło i nie powinno mieć na nas wpływu.

Do przyszłości również nie należy się przywiązywać. Oczywiście, należy czynić jakieś luźne plany, lecz nie przywiązywać się do nich. Im bardziej się ich uczepimy, im bardziej oczekiwać będziemy takiego, a nie innego rezultatu, tym bardziej możemy się rozczarować, jeśli sprawy nie pójdą po naszej myśli.

Przywiązania to kolejna rzecz, którą warto odrzucić. Możemy być przywiązani do człowieka, zwierzęcia, miejsca czy przedmiotu. Wówczas rozłąka lub utrata spowodują nasze natychmiastowe cierpienie, którego można było uniknąć.

Bycie zakorzenionym w chwili doprowadza do oczyszczenia umysłu ze zbędnych myśli, które na ogół nie są nasze, lecz pochodzą ze zbiorowej świadomości i wręcz wciskają się do naszej głowy. To my powinniśmy rządzić naszym umysłem, a nie on nami. Umysł bywa też zwodniczy i lubi interpretować – a przecież zdarzenia w życiu same w sobie nie są ani złe, ani też dobre: to tylko nasz umysł je klasyfikuje i przypina im etykiety według swojego widzimisie.

Akceptacja pomaga w zrozumieniu życia. Zaczynamy akceptować to, co się wydarza, wiedząc, że niekoniecznie mamy na to wpływ. Jaki sens ma stwarzanie oporu, płynięcie pod prąd,

przysłowiowe kopanie się z koniem? Opór powoduje tylko niepotrzebne cierpienie.

To, co dzieje się wokół nas i dotyczy nas bezpośrednio, jest częścią odgórnego planu i planu naszej duszy – czyli naszego planu. Wydarza się to, co postanowiliśmy przed wcieleniem. Spotykamy pewne osoby, ponieważ nasze dusze porozumiały się wcześniej na planie podświadomym.

Nie istnieje coś takiego jak przypadek. Sytuacje wydarzają się w konkretnym celu, w odpowiednim czasie, a stawianie oporu lub próba przyspieszenia nie przyniosą nic więcej oprócz cierpienia i przedłużenia naszych bolesnych doświadczeń. Na wszystko jest ustalony czas i miejsce. Oczywiście mamy wolną wolę i możemy dokonywać wyboru, lecz jest to tylko iluzja, bo gdy stojąc na rozstaju dróg, wybierzemy ścieżkę A, to dojdziemy do tego samego punktu, do którego prowadzi ścieżka B. Jedyna różnica jest taka, że ścieżka A będzie dłuższa i bardziej zawiła niż ścieżka B. Dlaczego nie wybrać więc prostszej ścieżki? Takiego wyboru dokonamy, słuchając intuicji, a nie umysłu, który potrafi wodzić nas za nos i prowadzić na manowce.

Intuicja to nasza dusza, czyli my sami. Połączenie z wnętrzem powoduje, że wybory przychodzą z lekkością i łatwością, a ich rezultaty są satysfakcjonujące.

Celem duszy jest odrzucenie cierpienia i odczuwanie bezwarunkowej miłości do wszystkich istot i całego otaczającego nas świata. Bezwarunkowa miłość to Absolutne Zrozumienie. Kochając, zaczynamy rozumieć motywy postępowania innych ludzi. Zaczynamy rozumieć ich ścieżkę i cierpienie, albowiem postępowanie inne niż to wynikające z miłości jest działaniem motywowanym bólem, który odczuwa dana osoba. Tylko człowiek zraniony i nieuleczony potrafi ranić innych. Wykształcamy w sobie empatię.

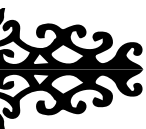
Nie istnieje coś takiego jak karma wynikająca z reinkarnacji. Po prostu wybieramy sobie ścieżkę w danym wcieleniu; taką, jaka

najlepiej posłuży naszemu rozwojowi. Czy odrobimy lekcje, to już inna sprawa. Warto uczyć się w szybkim tempie, albowiem każda niezaliczona nauka będzie powtarzana aż do skutku. Nie wszyscy wykorzystują w odpowiedni sposób swoją inkarnację: biegają jak kot za własnym ogonem i są zmuszeni powtarzać jedną lekcję przez więcej niż jedno wcielenie. Jedynym przejawem karmy jest uniwersalne prawo przyczyny i skutku, akcji i reakcji. Co zasiejesz, to zbierzesz: każde twoje działanie będzie miało konsekwencje, takie czy inne, więc warto postępować z poziomu miłości bezwarunkowej.

Wygaszenie ego jest kolejnym stopniem, gdzie nie patrzymy już z perspektywy „mój”, „moje”, „JA” i etykietek typu „jestem dumnym posiadaczem”, „jestem kimś”. Rozpuszczone ego pozwała nam odczuć pełnię pokory wobec życia i innych istnień. Nie musimy mieć niczego, nie trzymamy się kurczowo czegokolwiek; jesteśmy w stanie odpuścić.

Odpuszczenie i akceptacja pozwalają nam płynąć przez życie bez stawiania oporu. Nasz umysł przestaje interpretować wydarzenia i szufladkować je jako złe lub dobre. Wydarzenia po prostu się pojawiają, pozostając częścią życia.

Kreujemy własną rzeczywistość, stosujemy prawo przyciągania. Mamy świadomość, że to, co dla nas korzystne, zjawia się w odpowiednim czasie...



ROZDZIAŁ 2 BABCIA

Moja babcia była co najmniej nietypową postacią. Przeżywszy II wojnę światową, odmłodziła się o kilka lat, tak samo, jak uczyniło to wówczas wiele osób. W zasadzie dopiero przed jej śmiercią potwierdził się fakt, że urodziła się nie w roku 1919, ale w 1915.

W czasie wojny była najprawdopodobniej agentem kontrwywiadu, pracowała w kawiarni Abwehry przy Konopnickiej w Warszawie i przez kilka miesięcy w roku 1944 ukrywała w swoim mieszkaniu jednego ze słynnych cichociemnych, kapitana Tadeusza Starzyńskiego. Te z kolei fakty wyszły na jaw niemal dziesięć lat po jej śmierci i wówczas zrozumiałe stało się zdanie, które nieraz powtarzała: „A w podziemiach kościoła na placu Trzech Krzyży...” – rozbudzała ciekawość słuchaczy, ale nigdy tego zdania nie kończyła. W podziemiach kościoła na placu Trzech Krzyży cichociemni zbierali się na tajnych spotkaniach.

O wojennych losach babci niewiele wiadomo, więc wszystko opiera się na domysłach i dokumentach zgromadzonych w IPN, bo ona sama praktycznie na temat zarówno powstania, jak i wojny niewiele wspominała. Została jakaś jej mało mówiąca kenkarta z wyciętą datą urodzenia oraz parę innych dokumentów. Po latach wyszło na jaw, że pracowała w biurze Niemca,

prawnika Albrechta Eitnera, który zajmował się pożydowskimi i porzuconymi majątkami. Wcześniej znalazła zatrudnienie we wspomnianej kawiarni *nur für Deutsche*, gdzie bezkarnie przechodziła spóźniona lub wcześniej wychodziła, co w normalnych warunkach nie uszłoby jej płazem. Miała też romans z ss Hauptsturmführerem Alfredem Spilkerem, kapitanem cieszącego się złą sławą Spilker Kommando. To z protekcji Spilkera dostała pracę w biurze Eitnera, który później zginął podczas zamachu zorganizowanego w 1943 roku przez Armię Krajową. W życiorysie sporządzonym po wojnie na żądanie Urzędu Bezpieczeństwa babcia utrzymuje, iż wyrzucono ją z pracy w 1943 roku, lecz dokumenty Armii Krajowej mówią coś zupełnie innego – babcia pracowała w biurze jeszcze długo po śmierci Eitnera.

Romans z Alfredem Spilkerem nie był najprawdopodobniej niczym innym niż zbieraniem informacji dla wywiadów: polskiego i brytyjskiego. W czasie okupacji Polki podejrzewane o romanse z Niemcami miały głowy golone przez działających z zaskoczenia członków Armii Krajowej, a nawet przypłycały te kontakty życiem. Babci w tamtym czasie z głowy nie spadł ani jeden włos.

Bratem babci był młodszy od niej o cztery lata Olgierd, słynny powstańczy lekarz-bohater, znany jako „Doktor Olgierd⁵”. Po kapitulacji powstania i wyjściu ludności z Warszawy rodzina została zmuszona, by pozostać w tymczasowym obozie przejściowym w Tworkach w Pruszkowie pod Warszawą. Tam Olgierd leczył powstańców, w tym dziecko chore na tyfus – i się zaraził. Babcia po latach robiła z siebie bohaterkę, opowiadając bajeczki, jakoby to szła na Szucha na piechotę po lekarstwo dla brata. Lekarstwo zdobyła, ale było już za późno. Doktor Olgierd Skirgiełło zmarł. Został pochowany w kwaterze powstańczej na cmentarzu w Tworkach. Jego nazwisko można odnaleźć na

5 <https://www.1944.pl/powstancze-biogramy/olgierd-skirgiello,40453.html>.

murze w Muzeum Powstania Warszawskiego. Pośmiertnie został odznaczony Warszawskim Krzyżem Powstańczym. Opowieść babci o wycieczce po lek była niezła – na Szucha znajdowała się główna siedziba Gestapo... Oczywiście babci wierzyło się bez zastrzeżeń, nie biorąc pod uwagę ewentualności, że mogłaby zmyślać. Inna wersja tej historii brzmi tak, że na Szucha udała się matka babci i chorego Olgierda, Jadwiga, ps. Hieronima. Znow po wielu latach, po śmierci babci, wyszła na jaw prawda. Okazało się, że babcia nigdzie się z Pruszkowa nie ruszała, w barakach szpitalnych rezydowali Niemcy i właśnie tam nasza rodzinna mitomanka udała się po lek. A czuła się wśród gestapowców bardzo swobodnie, jak zeznali później świadkowie.

Po wojnie babcia brała udział w ekshumacjach prowadzonych przez Polski Czerwony Krzyż – po powstaniu mogiły zajmowały każdy wolny skrawek Śródmieścia: ulice, podwórka... Wydobywanie ciał znajdujących się już w pewnym stanie rozkładu i konieczność ich identyfikacji na pewno nie było odpowiednim zajęciem dla subtelnej panienki z dobrego domu, przywykłej do luksusów i łatwego życia.

W 1946 roku babcia zatrudniła się w Polskich Liniach Lotniczych LOT, a Urząd Bezpieczeństwa próbował ją rozszyfrować, uważając nadal za agenta brytyjskiego kontrwywiadu. Babcia jako pierwsza w Polsce stewardesa udała się w przestworza, co po latach opisano w książce *Wniebowzięte*. Autorka kontaktowała się ze mną mailowo, szukając materiałów. Odpisałam jej wówczas, że przebywam obecnie w Anglii, lecz w domu w Warszawie znajduje się babcina książka lotów, zdjęcia oraz inne dokumenty i mogę je udostępnić przy najbliższym pobycie w Polsce... Odpowiedzi niestety nie dostałam. Widocznie te informacje nie były aż tak istotne.

W tamtych czasach babcia latała do Paryża. Ponieważ lotów pasażerskich było niewiele, do Paryża leciało się na tydzień,